

JAN BŁAŻUKIEWICZ

ur. 1946; Strzelczyki



Miejsce i czas wydarzeń	Strzelczyki, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Strzelczyki, ZSRR, Komi, II wojna światowa, okres powojenny, rodzice, ojciec, Jan Błażukiewicz, matka, Maria Błażukiewicz, wybuch wojny, rozdzielenie rodziny, aresztowanie ojca, zesłanie ojca

Historia rodziny

Dziadek był jednym z inżynierów pracujących przy gospodarstwie Zamoyskich, był głównym mechanikiem. Mama, Maria z domu Andrzejewska, tam między innymi piastowała opiekę nad dziećmi. Ojciec nazywał się Jan Błażukiewicz, był akowcem, przesiedział 10 lat na dalekiej północy, w Komi. Ja urodziłem się trzy miesiące po tym, jak ojca zabrali.

Mama i ojciec jako nauczyciel po ukończeniu szkół, seminariów byli wysyłani w teren. Ojciec między innymi był kierownikiem takiej szkoły pod Grodnem, no i dwudziestego któregoś sierpnia [1939 roku] wyjechali, żeby już tam organizować pracę. Wybuch wojny zastał ich tam. Ojca oczywiście najpierw wcielono w mundur wojskowy, mama została sama, ale tak się złożyło, że kiedy front radziecki przesunął się 17 września, mama została oddzielona i stała się, jak oni mówili, grażdanką rosyjską. Kiedy front przeszedł, to potraktowali, że to są ich ziemie, Związek Radziecki, no i paszport, to ja pamiętam, mama miała grażdństwo ruskaje. Wyjechać nie wolno było, opuścić ten teren.

Nie miała kontaktu początkowo żadnego z ojcem, dopiero po kilkunastu miesiącach jakąś kartkę dostała, że jest tam gdzieś na linii przemarszu tych wojsk, później ta informacja gdzieś też znikła, obawy były, że może zginął gdzieś ojciec, no ale tak się stało, że ojciec w tym czasie przeszedł na stronę partyzancką AK na tamtym terenie, tak że się musiał ukrywać. Skończyła się wojna, ojciec wrócił, ale mama mimo wszystko chciała powrotu [do Polski], nie wyobrażała [sobie życia] tam, no ale okazało się, że nie [można]. Ustawy, jakie tam wprowadzono, [spowodowały, że] stali się obywatelami rosyjskimi, wydano im zupełnie nowe dokumenty, nadano obywatelstwo, tak że nie wolno było [mówić] Polak czy Polka. Pisma próbowała [matka] słać do Polski, niestety żadnej odpowiedzi nie było. W [19]45 roku, gdzieś pod koniec, ktoś tam przysłużył się ojcu, wydając informację, że on działał w AK. Była

krótka jakaś rozprawa świadków, otrzymał 10 lat zesłania na Północ. Tak że ja i moi dwaj bracia wychowywaliśmy się pod opieką mamy. W obcych ludziach, w obcych stronach to tylko miała ten autorytet jako żona kierownika szkoły, nauczyciela, więc ci ludzie miejscowi, a wielu tam Polaków [było] i do dzisiaj zresztą tam są, pomogli mamie w przetrwaniu tych trudnych chwil.

Zatrudniona została jako jedna z organizatorek kołchozów, czyli miała za zadanie chodzić i agitować mieszkańców do oddawania ziemi, koni. Nie było innego wyjścia, pracowała w tym kołchozie przez chyba 7 lat, później udało się jej znaleźć miejsce i pracowała na poczcie, w miejscowości Bielany. Kontakt z ojcem żadnego [nie miała], nie wolno mu było pisać.

My wychowywani byliśmy przez matkę w ogromnej tajemnicy, nam nie wolno było w jakikolwiek sposób ujawnić, że my jesteśmy Polakami. Dopiero człowiek jak już później dorastał, widział skutki – jak znikwały domy w tej miejscowości, rano wstajemy, do fundamentów rozebrany, nie ma, nie ma tych ludzi, ślad po nich ginął. To takie działanie było, w każdym razie mama musiała wszystko czynić, żeby jej z trójką chłopców nie spotkało nieszczęście. Potajemnie tylko z tymi najbliższymi sąsiadami spotykała się, którzy jej tam świadczyli pomoc – a to ziemniaków [dali], a to mleka, a to mąki, bo to, co za pracę w kołchozie dostawała, nie wystarczało przecież na to, żeby przetrwać szczególnie trudny zimowy okres. My zatrudniani byliśmy przez mamę, bo to przydzielone było uprawianie, tych kołchozowych działek, to ja pamiętam – w wakacje tośmy siedzieli w polu w pieleniu buraków, ziemniaków i takie mam wspomnienia z tych wszystkich wakacji, rozrywki żadnej, tylko cały czas ta robota przy tym, żeby nadrobić, sama mama tego nie wyrobiłaby.

To, co mama uczyniła w tamtym okresie, to heroizm z jej strony, bo przeżyć to wszystko, co tam musiała [przeżyć], ukryć te tajemnice w sobie, nie zdradziła się z niczym przed nami, ukrywać potrafiła to wszystko, a jednocześnie wychowywać w takim duchu, jaki był, tak że ta wdzięczność [moja] nie ma granic, za to co ona uczyniła.

To była miejscowość Strzelczyki, 6 kilometrów stamtąd do granicy [było]. Mama czasami gdzieś nas wyprowadzała na wzniesienie, to światła było widać polskich domostw, a tu była granica pilnie strzeżona z zasiekami, co rusz tylko gdzieś tam widać było tych przemieszczających się żołnierzy, którzy tam byli straży.

Myśmy cały czas [rosyjskiego używali], ja i moi bracia kończyliśmy szkołę rosyjską. Mama, kiedy był już okres pełnej odwilży, odważyła się napisać pismo do Nikity Chruszczowa z prośbą o umożliwienie rozpatrzenia sprawy męża i o przywrócenie go [z zesłania]. Odpowiedź była taka, że to jest niemożliwe, pozwolono jedynie na odwiedzinę. Mama zdobyła się na tę drogę, jadąc dwa tygodnie w tamtą stronę, do Komi. Tam gdzieś kopalnia była, coś takiego. Dwa tygodnie w jedną, dwa tygodnie w drugą [stronę], nas zostawiła pod opieką sąsiadów. Najstarszy brat Rysiek już był w wieku gimnazjalnym, on sprawował nad nami opiekę i mama odważyła się nas zostawić. Wróciła po miesiącu wycieńczona, wykończona, można to tylko sobie

wyobrazić, ale szczęśliwa, że [ojciec] żyje, że ma nadzieję na powrót. No i w [19]57 roku wraca ojciec, ale oczywiście z decyzją, że nie może w tej miejscowości mieszkać z nami, tylko najbliżej 100 kilometrów od nas, że musi tam gdzieś sobie znaleźć mieszkanie, w promieniu 100 km nie wolno mu mieszkać. Myśmy dalej mieszkali, a ojca tylko widzieliśmy raz przez parę godzin. Powitanie to można sobie wyobrazić, ły same cisną się w oczy, bo człowiek za ojcem tęsknił jak każdy, a tu nie widział, nie miał możliwości poznać, dopiero w tym momencie. Ojciec, jak już przyjechał, pisał do Czerwonego Krzyża, oczywiście też pisma bez echa. Koło Sokółki mieszkała w tamtym czasie rodzina ojca, taka daleka i napisał do nich pismo, żeby sprawdzili, czy Andrzejewscy w Lublinie pod adresem Kalinowszczyzna 51 zamieszkują. I dopiero ten daleki kuzyn odpisał, że żyją. Niezmieniony adres. Dziadkowie, babcia, dziadek, ciocia, wujek, jeden, drugi, sądzili, że mama zginęła gdzieś tam po prostu, że nie żyje, bo żadnych wieści nie było, żadnych informacji. No i w tym czasie oni podjęli starania poprzez Czerwony Krzyż, [żeby wrócić], bo był okres tej otwartej repatriacji, jest, rodzina, zapewnia mieszkanie, to wszystko tutaj, no i tak to się potoczyło w tajemnicy dalej przed nami. Ja gdzieś pamiętam takie czasopismo „Przekrój”, mama próbuje nam jakiś wierszyk czytać z zaciekawieniem, ale dalej nie wiemy, o co to chodzi, próbowała na pamięć nas nauczyć tego wiersza, to mi do dzisiaj zostało z pamięci. I uczyła nas Ojciec Nasz i Zdrowaś Mario, [pytaliśmy], po co to nam: „Przyda się wam to może, będziecie, jak umrę, za mnie odmawiać”. Dla nas to dziwne było, bo z Kościołem tam nigdzie żadnych kontaktów nie było, ale to, co mama mówiła, to się wykonywało. Zawdzięczam to, kim jestem, przede wszystkim matce, która dla mnie jest największym bohaterem tego najstraszliwszego okresu, jaki ją mógł spotkać, bo na obcej ziemi, wśród obcych potrafiła [poradzić sobie i nas wychować] sama, nie mając wsparcia żadnej rodziny, krewnych, bliskich, nikogo. Ucząc się od podstaw, przecież tam musiała też sama uczyć się, bo nie znała języka.

Data i miejsce nagrania	2013-09-30, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"